

# ROZMAITOŚCI.

Dnia 15. Listopada.

N<sup>er</sup> 46.

Roku 1854.

## PLEMIĘ YESYDÓW

czyli

## CZCICIELI SZATANA.

(Do charakterystyki ludów orientalnych).

(Dokończenie. Ob. Nr. 45. Rozmaitości.)

Teraźniejszy wódz Yesydów, Thama Aga, składał niedawno razem z naczelnikami kurdyjskich i tatarskich szcze-  
pów uszanowanie swoje Jego Excelencyi księciu Woronców, jeneralnemu namiestnikowi prowincyi zakaukaskich. Książę przyjął ich bardzo łaskawie i z tą uprzejmą zyczliwością, która mu jednała wszystkie serca. Naczelnik czcicielów szatana został nawet zaproszony do sto-  
łu książęcego, gdzie czerwony jego za-  
wój najbardziej się odznaczał pomiędzy czarnemi czapkami wielebnych prałatów ormieńskich i białemi turbanami tatarskich mollaków. Przy pożegnaniu zaszczycił go książę upominkami różnego rodzaju, a gminie jego zapewnił opiekę i sprawiedliwość.

Opuszczając Armenię rosyjską prosi-  
łem przyjaciela mego Abowiana, któ-  
ry podówczas był dyrektorem szkoły po-  
wiatowej w Erywanie, aby, korzystając  
z blizkiego sąsiedztwa Yesydów, zebrał  
dla mnie ile możności jak najwięcej szcze-

gółów religii, obyczajów, zwyczajów i  
podań tego ludu. Ale dopiero w pięć  
lat po powrocie moim do Europy ziści-  
ło się życzenie moje zapomocą pewnego  
kapłana ormieńskiego. Uczony Gaspar-  
Ter-Gewandzan, dawniej mnich w or-  
mieńskim klasztorze Eczmiadzin, a póź-  
niej nauczyciel przy szkole powiatowej  
w Erywanie, zwiedzał nietylko przez  
wiele lat Mesopotamię, Kurdystan i Ma-  
łą Azyę, ale żył także między Kurda-  
mi i Yesydami, nauczył się dokładnie  
ich języka, i był nawet przez długi czas  
przyjacielem i gościem naczelnika Ye-  
sydów Mirzy Agi w Radowanie, u któ-  
rego uczył dzieci języka tureckiego i  
ormieńskiego. On-to najpierwszy zebrał  
mnóstwo ciekawych i szacownych szcze-  
gółów nietylko o domowem życiu, oby-  
czajach i zwyczajach Yesydów, ale i pod  
względem poezyi ich utrzymującej się tyl-  
ko w podaniu ustném. Przysłane mi za  
staraniem pana Abowiana próby poezyi  
Kurdów i Yesydów w dosłowném tłuma-

czeniu są-to po największej części opisy czynów bohaterskich, pieśni wojenne a niektóre miłosne także, z formy za szorstkie cokolwiek, ale w treści tak proste i naturalne i z ustępami tak miłemi, jak pieśni kozackie na Ukrainie. Rzecz szczególna! U dzikich czcicieli szatana budzą się w sercu takie same uczucia, jak u innych ludzi. Niektóre poemata ich są pełne pieściwych wyrazów tęsknoty i smutku, i oni hołdują uczuciom piękności i miłości, i pomimo długoletniej kolei nieszczęść, którą przeżyć musieli, pomimo tortury niedostatku i nędzy, z którą walczą bez ustanku, są w stanie tak samo zachwycać się czarnym okiem i jedwabnym włosem, rozumieją się tak dobrze na poezyi całusa, jak najczulszy liryk szkoły nowoczesnej opływający w wygodach i rozkoszy. A co więcej jeszcze: towarzyskie zasady Yesydów, osobliwie na ziemi rosyjskiej jak niemniej i życie ich praktyczne, mianowicie pod względem wierności małżeńskiej i przywiązania rodzinnego — są częstokroć daleko moralniejsze niż u jednego z naszych prawowiernych skrupulatów lub niewiernych filozofów.

Z przysłanych mi tłumaczeń zasługuje osobliwie na wzmiankę heroiczne opisanie zwycięstwa Yesydów odniesionego pod Radowanem nad Turkami. Między elegijnemi pieśniami odznacza się najbardziej skarga matki yesydyjskiej po okropnej wyprawie Reszyda Baszy i zale dziewicy, której oblubienca zabrali Turcy do wojska.

Dla ciekawości przytaczamy tu zakończenie pierwszego poematu:

Hyena trupów odgrzebuje skrycie —

Na świeżych grobach śród nocy ucztuje;

Lecz krwi nie łaknie i młodość szanuje  
Bo tam niesięga, gdzie miłość i życie.

Lecz Reszyd Basza ten tyran straszliwy  
Na życie czyha jak orzeł krwi chciwy.  
Patrz dziecię! tam ojca krew na turbanie —  
A tobie porwał kochankę młodzianie!

Przeklęstwo temu kto dzieli dwa serca!  
Przeklęstwa godzien nieczuły morderca!  
W grobie zmodrzeją jego ofiar kości  
Lecz klątwy naszej wystucha Bóg złości! \*)

## 2. Szczegóły o religii, obyczajach i zwyczajach Yesydów.

Abowian czerpał wiadomości o pochodzeniu Yesydów po największej części z ormieńskich dzieł historycznych i rękopisów w bibliotekach klasztornych w Eriwanie i Eczmiadzinie, i dlatego-to różnią się uwagi jego całkiem od badań Hammera, Richa, Niebhra, Rawlinsona i innych orientalistów. Podług zdania historyków ormieńskich niepochodzi pokolenie Yesydów i ich religia ani od perskich czcicieli ognia, ani od Indów ani też od Arabów mahometańskich. Pierwszymi wyznawcami tej nauki, których Czamiczean nazywa Polichejezykami lub Thondrakjanami, mieli być odszczepieńcy kościoła ormieńskiego, a pierwszy związek ich przypadł w połowie dziewiątego stulecia. Założycielem tej sekty był niejaki Simbath, rodem ze wsi Sarchawan w okręgu Bagkotan (w dzisiejszym paszalicu Wan), wspólnie z perskim lekarzem i astrologiem Mezuszik, któremu Ormianie przy-

\*) Mellek-Tauss.

pisują poczęści pierwsze dogmata kacer-skie. Simbath wykładał i rozszerzał naukę swoją, nazywając ją zrazu chrześcianańską w okręgu Thondrak (w dzisiejszym paszaliu Bajasid), i dlatego zwano pierwszych jój zwolenników zazwyczaj Thondrakjanami. Sekciarze ci osłaniali swoje nauki i ceremonie głęboką tajemnicą, a ówczesny patriarchya ormieński, Oannes, rzucił na nich jako na heretyków klątwę kościelną.

Pomimo wszelkich prześladowań tak ze strony duchowieństwa jako też świeckiej władzy rozszerzyła się nauka Simbatha aż do Mesopotamii. Później wzmocnili się wyznawcy jój rozbitkami innych sekt prześladowanych. Nawet sławny reformator ormieński, biskup Jakób z Harki, miał być, jak twierdzą pisarze współczesni, zarazony kacerstwem sekty thondrackiej. Przeciw tym sektom powstał około połowy jedenastego stulecia ormieński książę i pisarz Grigor Magistros mieczem i piórem, i zburzył nawet miasto Thondrak, pierwotną siedzibę tych sekciarzów. Pomijamy tu dalsze wyjątki z ormieńskich źródeł historycznych, ponieważ są w wielu miejscach niezrozumiałe i niedokładnie wyjaśniają początek yesydyzmu. Niemasz w nich żadnej wzmianki o tém, z jakich narodowości powstał pierwotny wyznawcy i zwolennicy nauki Simbatha, czy to byli tylko sami Ormianie, czy też pomieszani z Kurdami i Persami, i czy nakoniec perski astrolog Meczuszik nieprzywabił za sobą także jakiej części wygnanych z ojczyzny czcicieli ognia. Również niewyjaśniają tego dostatecznie

ormieńskie źródła historyczne, czy Thondrakjanie byli istotnie pierwotnym szczepem Yesydów, lub czy religia ich, co podobniejsze do prawdy, nie powstała poczęści także z wyznań dawniejszych sekt w innych okolicach Małej Azji. Wspomniony w pierwszym artykule kapłan ormieński Ter-Gewandzan, który opisuje obszernie religijne ceremonie Yesydów nad rzekami Tigris i Eufrat, popiera także to przypuszczenie, że winni początek swój sekciarzom ormieńskim, lub przynajmniej zmieszali się później z Thondrakjanami, Ehnunitami, Jakobitami i t. p. Nadto zapewnia Ter-Gewandzan, że Yesydy i Ormianie mają bardzo wiele jednakowych obrządków religijnych, że poszczą w ten sam dzień i równie ściśle jak Ormianie, że obchodzą razem z nimi niektóre dni świąteczne, i że nakoniec czczą nawet pamięć tych świętych, którym dnie te są poświęcone.

Właściwe jądro swojej wiary utrzymują Yesydy w jak najgłębszej tajemnicy, ale przytém wszystkiém przywłaszczają sobie chętnie rozmaite ceremonie zewnętrzne potężniejszych sąsiadów swoich, i w państwie chrześcijańskim przechylają się więcej do dogmatów chrześcijańskich, a pomiędzy Mohamedanami więcej do islamizmu.

Porównawszy rozmaite zdania o prawdopodobnym początku, religii, zwyczajach i obyczajach czcicieli szatana na Wschodzie, można przypuszczać na śmiało, że Yesydy i jako lud i jako sekta pochodzą z wielorakiój mieszaniny różnorodnych żywiołów, i że do pierwotnego składu ich wchodziły nietylko szczątki prze-

śladowanych sekt staroperskich, chrześcijańskich i tureckich, ale także cząstki koczujących szczepów ormieńskich, perskich i arabskich, które uchodząc przed wściekłością i fanatyzmem silniejszych gnębicielei po górach i puszczech szukały schronienia. Tamto dopiero zmuszone wspólném niebezpieczeństwem i potrzebą wzajemnej pomocy przeciw prześladowcom swoim, połączyły się te różnorodne odłamki w jeden lud i kościół, który przez długie czasy opierał się zwycięzko napadom nieprzyjaciół swoich. Dopiero w średnim wieku zadały mu stanowczy cios krwawe wyprawy Turków i Kurdów, a rozbiłki Yesydów rozprzeczły się na wszystkie strony aż do tych krajów, w których dzisiaj ich spotykamy, po części w stałych siedzibach a po części koczujących jak wędrowne hordy cyganów.

O charakterze i moralném wykształceniu Yesydów zachodzą najrozmaitsze zdania. Dawni pisarze ormieńscy wyrażają się o nich w zelżywy sposób, potępiając bezwarunkowo tę sektę kacerską, a w drugiej połowie zeszłego stulecia nazywa ich ojciec Garzoni, sławny misyjonarz rzymski, ludem barbarzyńskim bez praw, obyczajów, postów i modłów, — ale także tylko z odrazy religijnej. Późniejsi badacze zaczawszy od Niebuhra oddają już sprawiedliwość temu spotwarzanemu ludowi. Im dłużej i dokładniej rozpoznawał go który, tém korzystniejsze jest jego zdanie o nim. Ja sam przekonałem się i to po krótkim pobycie w Armenii i Kurdystanie, że ostatecznie czciciele szatana są wcale spo-

kojnym, łagodnym i gościnnym ludem, który pomimo ubóstwa swego przyjmie gościa chętnie pod namiot i uraczy tém, co ma, nieżądając wcale wynagrodzenia. Zdanie to potwierdzają także moi ormieńscy przyjaciele w Erywanie, którzy przez długi czas żyli i obcowali z Yesydami. Wszędzie, gdzie biédnym, prześladowanym tym sekciarzom niedokucza złośliwy sąsiad, są-to nie barbarzyńce krwi cheiwi ani łotrowie, lecz spokojni, nabożni, w czystości i moralności skromni pasterze, którzy w religijnym względzie odznaczają się wielką tolerancją, obok swego proroka czczą także założycieli chrześcijaństwa i islamizmu, lecz przytem wszystkim starają się także żyć w zgodzie z szatanem okazując mu wielką sympatyę jako potężnej niegdyś a dziś nieszczęśliwej istocie.

Swego wielkiego, najwyższego Boga nazywają Yesydy po arabsku „Allah.“ Jako zbawiciela czczą słońce i światło czyli *technienie Boga*, u Yesydów nad Araxesem stawiane na równi z Jezusem. Światło to, powiadają Yesydy, wyszedłszy z dziewiczej piersi Maryi, przybrało postać ludzką, dało się ukrzyżować na dowód czystości i prawdy nauki z nieba, i niepogrzebione powróciło do Boga. Nietylko szczepy nad Araxesem, ale i w paszaliku Mossul mieszkający Yesydy oddają wielką cześć Chrystusowi Nazarańskiemu i zowią Go „Be-Isai-Nurani“ t. j. Jezus-Światło. Imię to i nazwę krzyża „Ehacz“ wymawiają tylko w przypadkach uroczystych, podczas modlitwy i t. p. Inne szczepy Yesydów nazywają Chrystusa „Isa-Reugambar“ t. j. Jezusem-

Prorokiem. Kto imię Jego lub Ałłahy przymieszka do klątwy, musi podać się czternastodniowej pokucie, podczas której niewolno grzesznikowi ani wyjść z domu, ani rozmawiać z kimkolwiek.

Stałym dniem świątecznym w tygodniu jest czwartek u Yesydów; w tym dniu ustaje wszelka robota, i każdy prawowierny poświęca go pokucie i modłom. Majętniejsi czczą go oprócz tego czynami dobroczynności, posyłają najbiędniejszym znajomym swoim miskę pilawu, t. j. gotowanego ryżu. Modlitwy odmawiają zrana zaraz po wschodzie słońca obróceniem twarzą ku wschodowi. Najpierw zakrywają twarz obiema rękami i całują je, potem schylają się, przykładają rękę do ziemi i dotykają się palcami czoła. Modlitwy ich są krótkie i pojedyncze. Nieraz mawiali do przyjaciela mego Abowjana: „Wielki Ałłah czyta w sercach naszych, a niezważa na próżne wyrazy.“

W wielki piątek w nocy odprawiają tajemnicze nabożeństwo, o którym trudno dowiedzieć się od nich coś bliższego. Wszakże zapewniają świadkowie nao-

czni, że przytem nieodbywają się żadne ceremonie sprosne, jak-to utrzymywali nieprzyjaciele tej sekty. Przeciwnie: Yesydy modlą się wtedy i śpiewają z wielką pobożnością, piją wino i jedzą przasny chleb z wspólnego naczynia, podobnie jak przy wieczerzy pańskiej u chrześcian. Modlitw i pieśni nabożnych nieudzielają wcale cudzoziemcom. Przez trzy dni w roku zachowują post najostrzejszy, jadają jak Mohamedanie tylko w nocy, i niedają w te dni nawet bydłu żadnego pożywienia.

Duchownym naczelnikiem Yesydów jest Szejk-Chan ich Papież mieszkający w Baadli. Rich widział zdaleka tę stolicę papieżką opartą o skały jadąc z Mossul do El Kosh. Godność Szejk-Chana piastował wówczas wódz i kapłan Saleh-Bay. Ród tego papieża Yesydów w Baadli ma być bardzo starożytny, a jego samego mianują wszystkie szczepy Yesydów swoim księciem Emir-Hadi. Podanie ustne wywodzi ród jego od Omiadów i twierdzi, że pierwszy Kalif z tego domu, Moawia, był ojcem Yesyda.

---

## KOŁNIERZYK.

Wzorek z tegoczesnej literatury powieściarskiej.

W mieście którego imię na A-E-U nie wiem, żył jeden elegant, miał kruczki do butów i szczoteczkę od włosów, a nosił kołnierzyk najpiękniejszy w świecie; i o tym-to kołnierzyku historia, jak on nieznacznie zapędzony w lata zamyślił się zenić.

Schodzi się raz u praczki przypadkiem z Podwiązką. O nieba! zawołał kołnierzyk, coś tak wysmukłego a lubego w życiu nie widziałem; klejnocik aż oczy bierze. — Wolno mi prosić o godność pani?

Tego panu nie powiem.

Gdzież pani przebywa? pyta kołnierzyk.

Ale podwiązka z natury grymasła, i na to nic nie odpowiedziała.

Ah! pani jesteś Przepaska? pojmuję, mówił kołnierzyk; tak! przepaska od stroju równie jak ku wygodzie, łaskawa pani!

Zkąd panu przyszło mówić do mnie? wszak-żem nie dała powodu.

Eh! kto tak piękny jak pani, już tém samém dał powód.

Odsuń się pan i nie przybliżaj — wyglądasz mi jak mężczyzna.

A juścić-em elegant, mówi kołnierzyk, udając się za pana swego zwyczajem kołnierzyków co się pierożą; a juścić, mam szczoteczkę i kruczki.

Wielkie rzeczy! pan mi się nie przybliżaj! także! abo-to ja taka?

O! niedrożyła byś się pani, mówi kołnierzyk.

W tém wyjęto ich z bali, nakrochmalono, wywieszono trochę na słońce, potem wzięto pad rozpaloną maglownicę żelazną.

Ah droga! woła kołnierzyk do rozpalonej maglownicy, droga, kochana wdówko! Daj pokój! piecze mnie! ah nie poznaję sam siebie — skruszę się na nic — dziurę we mnie wypalisz! — Uh! ożenię się z tobą!

Gałganie! ty żenić ze mną? mówi maglownica i sunie z pogardą po kołnierzyku jak kociel parowy po kolei żelaznej.

Co zaś powiedziała? gałganie?!

A było-ć tak i nie inaczej, bo już po brzegach wisały strzępki, więc przyszły Nożyczki ażeby pościnać kołtunki.

Ah! mówi kołnierzyk do nożyczek, pani bez wątpienia jesteś tancerka, tak ślicznie nogami wyrzucasz, aż miło! niech zginę, temu nikt nie podoła.

Wiem o tém! odpowiedziały nożyczki.

Godnaś korony! mówi kołnierzyk, u stóp bym ci rad złożył moją elegancyę całą, kru-

czki i grzebyk, nawet i herby moje gdy się wylegitymuję.

Czego mu się zachciewa! nożyczki na to: piękny gagatek do mojej rączki! — i w gniewie, gdy się zacięły, oberznęły z kołnierzyka tyle ze poszedł w szmaty.

Ha! kiedy nie, więc do szczoteczki zapukam, pomyślał kołnierzyk i mówi do niej: Tak ślicznych włosów, jakie u pani widzę, w świecie nie znajdzie; szkoda-by sponiewierać. Nie myślała też pani nigdy o mężu?

Owszem! odpowiedziała szczoteczka, już zaręczona-m chłopcu od butów.

Zaręczona! westchnął kołnierzyk, — a-to lichy! nic mi się nie wiedzie, gdzie zakofacę, wszędzie nie wczas. I odtąd zaczął zrękowinom złorzeczyć.

Minęła kołnierzykowi pora, i znalazł się w koszu u papiernika, gdzie było zgromadzenie gałganów, delikatniejsze osobno, grubsze także osobno. Każdy miał coś gadać, a kołnierzyk najwięcej, chełpliwiec zwyczajnie.

Ile-to *ja* miał miłostek! wyobrażenia nie macie; spokoju mi nie dawano, bo ze mnie był elegant jak rzadko, trzeba było widzieć jak ja do twarzy przylegał! rozpowiada kołnierzyk. Nie zapomnę nigdy mojej piérszej miłostki do Przepaski! do ślicznej, lubej, pulchniutkiéj przepaseczki! dla mnie ona rzuciła się w balię. A była tam i wdówka jedna, ta wrzała do mnie miłością, i kiedym umknął zpod jéj neisków, poczerniała z żalu; potem miałem tancerkę i po niej-to noszę bliznę, bo niesłychanie była natrętną. Co powiecie, moja własna szczoteczka kochała się we mnie, aż jéj włosy powyłaziły. Przebyłem wiele, i mam niestety! na sumieniu nie mało; czas się już ustatkować i wyblichować na papier.

I stało się mimo życzenia, że gałgany przestoczyły się na biały papier; a ten kawałek na którym to się drukuje, właśnie jest z kołnierzyka, — już po tém poznacie państwo, iż się chwali z tego, co nie jest jego.

## M A T K A.

Bajka z Andersena.

W ubogim, ustronnym domku siedziała Matka przy kolebce swego dziecięcia, a była taka smutna, taka stroskana, bo dziecię jej umierało. Twarzyczkę jego pokryła śmiertelna bladeść; przygaste oczka mrzały co chwila, a pierś oddychała tak ciężko i tak głęboko nieraz, że biedna Matka z większym żalem jeszcze spoglądała na cierpiące niemowlę.

W tém zapukano do drzwi i wszedł ubogi starzec okryty grubym kocem, a drżał od zimna i kulił się, bo było-to wśród zimy. Ziemię pokrywały lody i śniegi, a wiatr dął tak mroźny, aż krew stygła w żyłach.

Starzec szcękając zębami tulił się do pieca; a gdy dziecię na chwilkę usnęło, wstała Matka i przystawiła dla niego garnek mleka do ognia. Starzec tymczasem siedział i kołysał, a Matka usiadła potem obok na stołeczku, utkwiała wzrok w dziecięciu, które tak ciężko odechowało, i ujęła drobną jego rączkę.

„Nieprawdaz,“ — spytała — „wszak i tobie się zdaje, że nieumrze? Dobry Bóg niezechce mi go odebrać!“

A starzec — była to Śmierć sama — ruszył głową tak dziwnie: trudno było odgadnąć, czy potwierdza, czy zaprzecza. Biedna Matka spuściła oczy i łzy spłynęły jej po twarzy. Głowa tak jej ciężyla; przez trzy dni i nocy niezmrużyła oka; toż zdrzemała teraz, ale na chwilkę tylko, potem zerwała się nagle i zadrżała z zimna. „Co się stało?“ spytała i powiodła oczyma dokoła. Ale starca niebyło już, i jęć dziecięcia niebyło: zabrał je z sobą. A w kącie izdebki zaskrzypiał stary zegar; z przeraźliwym łoskotem spadła na ziem ołowiana waga; i zegar stanął także.

Ale biedna Matka wyleciała z domku i wołała za swém dziecięciem.

Na dworze wśród śniegu, siedziała niewiasta w długiej czarnej sukni i rzekła: „Śmierć była u ciebie w twojej izdebce; widziałam ją uchodzącą z twém dziecięciem; kroki jej szybsze od wiatru, i nigdy niezwraca co wzięcie!“

„Powiedz mi tylko, dokąd odeszła!“ zawołała Matka. „Pokaż mi drogę a ja ją dogonię.“

„Znam ja tę drogę,“ rzekła niewiasta w czarném ubraniu: „ale nim ci pokażę, musisz prześpiewać mi wszystkie piosnki, które śpiewałaś twemu dziecięciu. Lubię te piosnki, i już je nieraz słyszałam; ja jestem Noc, i widywałam łzy twoje, kiedyś śpiewała.“

— „Wszystkie, wszystkie wyspiewam!“ mówiła. „Ale niezatrzymuj mnie, bym mogła ją dogonić i odzyskać moje dziecię!“

Ale Noc milczała jak zaklęta. Wtedy Matka załamała ręce i śpiewała i płakała. I wiele było piosnek,

ale lez więcej jeszcze! A potem rzekła Noc: „Idź na prawo w ten ciemny bór jodłowy; tam Śmierć poszła z twoim dziecięciem.“

Daleko w głębi boru krzyżowały się drogi, i nieboga niewiedziała już w którą się zwrócić. Tuż u rozstai stał krzew cierniowy, bez liści i kwiatów; bo też to było wśród zimy i kiście lodu wisiały z gałązek.

„Czy widziałeś, którędy Śmierć poszła z mojem dziecięciem?“ spytała Matka.

„Widziałem!“ mówił krzew; „ale ci niepowiem, póki mnie nieogrzejesz na twojem łonie! Ja tu kośnieje z zimna i członki moje w lód się zcinają!“

A nieszczęśliwa kobieta przycisnęła go do swoich piersi, z taką siłą, jak niegdyś przyciskała dziecię swoje. I ciernia wbiły się w jej łono i krew jej sączyła się dużemi kroplami. Ale krzew zato wypuścił świeże zielone listki, i okrył się kwieciami wśród mroźnej nocy zimowej: tak było gorące serce bolejącej Matki! I krzew wskazał jej drogę, którą iść miała.

Ale niebawem przybyła nad wielkie Jezioro, na którém niebyło ni statku ni łodzi. Lód był za cienki, by mógł ją utrzymać, a woda za głęboka, by mogła ją przebrodzić — a przecież musiała dostać się na drugą stronę chcąc swoje dziecię odszukać. Toż legła nad jeziorem, by wypić wodę z jeziora; a to było przecież nad wszelkie siły ludzkie! Ale strapiona Matka nieliczyła sił swoich i myślała o cudzie.

„Nie, tego nigdy niedokazesz!“ rzekło Jezioro. „Lepiej radźmy wspólnie i zróbmy ugodę. Ja lubię bardzo zbierać perły, a twoje oczy to dwie najcześniejsze perły, jakich niewidziałem: wypłacz je na mojem łonie, a ja cię przeniosę za to do wielkiej cieplarni, gdzie Śmierć mieszka i pielęgnuje drzewa i kwiaty; a każde z nich jest-to życie ludzkie!“

„O, czegóżbym niedała, by się dostać do mego dziecięcia!“ rzekła splakana Matka. I płakała jeszcze więcej i oczy jej spłynęły na dno Jeziora i zmieniły się w dwie kosztowne perły. A Jezioro zato podniosło ją do góry, jakby siedziała w rydwanie, i jednym pchnieniem przeleciała na drugi brzeg, gdzie stał cudowny dom, na miłą długą. Trudno było rozeznąć, czy to była góra o gęstych lasach i parowach, czy też budynek. Ale biedna Matka niemogła widzieć tego: wszak wypłakała swoje oczy.

„Gdzież znajdę Śmierć, co uszła z mojem dziecięciem?“ spytała.

„Jeszcze tu jej niema!“ rzekła siwa, zgrzybiała staruszka, strzegąca mieszkania śmierci. „Jakżeś ty się tu dostała, kto ci dopomógł?“

„Bóg dobry mi dopomógł!“ odrzekła. On miłosierny, i ty ulitujesz się nademną. Gdzież jest moje dziecko?“

„Ja go nieznam,“ rzekła staruszka, „a ty niemożesz widzieć! — Wiele drzew i kwiatów uwiędło tój nocy i wnet przyjdzie Śmierć, by je przesadzić. Ty wiesz dobrze, że każdy człowiek ma swój kwiat lub drzewo życia, jak jakie komu dano. Są-to rośliny, jak wszystkie inne, ale serca ich biją. A dziecięce serca umieją bić także! Tego się trzymaj, a może poznasz bicie serca twego dziecięcia. Lecz co mi dasz, bym ci powiedziała co masz robić dalej?“

„Ja już nic niemam,“ rzekła z bolesnym westchnieniem Matka. „Ale pójdę dla ciebie choćby na koniec świata.“

„To mi się na nic nieprzyda,“ — odrzekła staruszka, „ale możesz dać mi twe długie, krucze włosy: wszak wiesz, że są piękne, a mnie podobały się! W zamian dam ci moje siwe, a i to coś znaczy!“

„Czy tego tylko żądasz?“ spytała. „Najchętniej się pomieniam!“ I dała swe piękne włosy w zamian za siwe włosy staruszki.

A potem weszły obie do wielkiej cieplarni Śmierci, gdzie rosły najrozmaitsze drzewa i kwiaty w cudownym nieładzie. Były tam smukłe hyacenty pod szklanym nakryciem, i duże krzaczyste piwonie. Tu wily się rośliny wodne, jedne całkiem świeże, drugie napół ognile; gady wodne pełzały po nich, i czarne raki czepiały się szypulek. Owdzie stały wyniosłe drzewa palmowe, dęby i platany; obok pietruszka i kwitnący tymianek. Każde drzewo i każdy kwiat miały swoją nazwę; każde z nich przedstawiało życie ludzkie, a ludzie ci żyli jeszcze, jeden w Chinach, drugi w Grenlandyi, dokoła po świecie. Były tam i duże drzewa w małych naczyniach, tak że stały całkiem skurezone i mogły lada chwila rozsadzić swe więzienie; były też drobne, wątłe kwiatuszki w tłustej ziemi, obłożone mchem dokoła, strzeżone i pielęgnowane. Ale strapiona Matka nachylała się tylko do najdrobniejszych roślin, słuchała u każdej bicia serca, i wśród milionów poznała tętno swego dziecięcia.

„Ono tu!“ zawołała wyciągając rękę ku małej roślince, zwieszonjej bezwładnie ku ziemi.

„Nieruszaj tego kwiatka!“ ostrzegła staruszka. „Ale stań tutaj, i gdy Śmierć przyjdzie — a oczekuję jej co chwila — niedaj jej wyrwać tój roślinki; lecz zagroż, że uczynisz tak samo z innymi kwiatami: to ją zatrwoży! Ona musiałaby za to odpowiadać przed Bogiem, bo żaden kwiat niemoże być wyrwany bez Jego woli.“

W tём wionął nagle mroźny wiatr po sali i ślepa Matka poznała, że to Śmierć nadchodzi.

„Którędyś tu przyszyła?“ spytała Śmierć zdziwiona „Jakim sposobem zdołałaś mnie wyprzedzić?“

„Jestem Matka!“ odpowiedziała.

I Śmierć wyciągnęła kościstą swą rękę, by wyrwać wątłe kwiecie; ale Matka osłoniła je swemi rękoma, tak blisko, tak troskliwie, a przecież z największą obawą, by niedotknąć żadnego listka. Wtedy zionęła Śmierć na jej ręce, a technienie to było zimniejsze, niżli wiatr mroźny, i ręce opadły jej bezwładnie.

„Mnie niezdolasz się oprzeć!“ rzekła Śmierć.

„Ale Bóg zdoła!“ odrzekła Matka.

„Ja robię to tylko, co On każe!“ mówiła Śmierć.

„Jestem Jego ogrodnikiem i przesadam wszystkie Jego drzewa i kwiaty do wielkiego ogrodu rajskiego, do nieznannej krainy. Ale jak one tam rosną, i jak tam jest; tego powiedzieć ci niemogę!“

„Wróć mi dziecię moje!“ rzekła Matka i płakała i błagała. A naraz chwyciła rękoma dwa piękne kwiaty i zawołała: „Słuchaj, powyrywam wszystkie twe kwiaty w rozpacz!“

„Nieruszaj ich!“ krzyknęła Śmierć. „Niebaczna, powiadasz, żeś nieszczęśliwa, a chcesz tak samo unieszczęśliwić inną matkę?“

„Inną matkę!“ rzekła biedna kobieta i puściła natychmiast oba kwiaty.

„Masz tu twoje oczy,“ mówiła Śmierć. „Złowiłam je w jeziorze, gdzie błyszczwały tak jasno, niewiedząc że to twoje. Weź je napowrót; są one teraz jaśniejsze jeszcze, niż były pierwój; a potem spojrzij w tę głęboką studnię obok. Wymienię ci nazwiska tych obudwu kwiatów, które wyrwać chciałaś, i njrzyysz jak w zwierciadle całą ich przyszłość, całe ich życie ludzkie. Dowiesz się, coś niebaczenie zniszczyć chciała!“

I Matka spojrzrzała w studnię; i rozkosz była patrzeć, jak jeden z nich stawał się błogosławieństwem całego świata, jakie szczęście i radość rozsięwał dokoła. I ujrzrzała życie drugiego, a to były troski i niedostatek, cierpienie i nędza.

„Wszystko to wola Boga!“ rzekła Śmierć.

„Któryż z nich jest kwiatem nieszczęścia, a który błogosławiony?“ spytała.

„Tego ci niepowiem,“ odpowiedziała Śmierć: „ale to się dowiedz, że jeden z nich jest-to kwiat twego własnego dziecięcia. Jego-to los widziałas, jego przyszłość odsłoniłam twemu oku!“

Wtedy krzyknęła Matka z przestachu. Który z nich jest moje dziecko? Powiedz mi! Uwolnij niewinną istotę! Wybaw moje dziecko od nędzy! Weź je raczej z sobą do krainy Boga! Zapomnij o moich łzach, o moich prośbach i wszystkim, com zrobiła!“

„Nierozumiem cię teraz!“ rzekła Śmierć: „Czy chcesz napowrót twoje dziecko, czy mam odejść z nié do kraju, którego nieznasz?“

Wówczas Matka załamała ręce, padła na kolana i błagała Boga! „Niesłuchaj mię Panie, gdy prośba moja niezgadza się z wolą Twoją, która zawsze najlepsza! „Niesłuchaj mnie Panie, niesłuchaj mnie!“

I spnęła głowę na piersi.

A śmierć odeszła z jej dziecięciem do nieznanego kraju.